Nr. 27. (nadzwyczajny — dodatkowy) Lwów, —— 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo illustrowane.

Od wydawnictwa.

Do numeru *Gońca i Iskry* całkowicie illustrowanego poświęconego pamięci Matejki — dołącza się dwa numera dodatkowe. Razem też ekspediuje się *Wesoły Kurjerek* Nr. 10.

Uprasza się szanownych prenumeratorów o rychłe odsełanie prenumeraty, gdyż zaległe należytości są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe. Wszelkie należytości odsełać należy do *Administracji „Gońca i Iskry" we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.*

Od ręki.

= Kobiety i ptaki.

Znany angielski naturalista, W. H. Hudson, za pośrednictwem „Timesa" zwraca się do kobiet, by zaprzestały mody zdobienia ptakami i piórami ptaków sukni i kapeluszy. Już w 1867 roku tego rodzaju wezwanie, wystosował profesor Newton i wówczas uczony ten zrobił uwagę, że moda wpłynie na wyniszczenie całych gatunków rozmaitych ptaków. Proroctwo to, jak pisze pan Hudson, spełniło się całkowicie. Amerykańskie pisma ornitologiczne zamieszczają obszerny spis gatunków ptaków. odznaczających się pięknem upierzeniem, które bliskie są całkowitego wytępienia i przytaczają mnóstwo gatunków takich, które poprzednio znajdowały się w znacznej liczbie, a dziś należą do rzadkości. Wogóle w okolicach, gdzie hodują się gatunki ptactwa pięknie upierzonego, o wyniszczeniu go można utworzyć sobie pojęcie dopiero wtedy, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że moda, o której wzmiankowaliśmy, powstała 20 lat temu i przywóz ptaków do samej Anglji wynosi od 25 do 30 miljonów rocznie. Przeszłej zimy zdawało się, iż moda porzuciła te ozdoby — na nieszczęście trwało to tylko krótko. Ptaki stały się tak tanie i noszenie ptasich piór, tak się upowszechniło, że najuboższa dziewczyna zdobi niemi kapelusz i w najpodrzędniejszych sklepach, nie zabraknie tych ozdób, a w szczególności „aigretty" z piór orła morskiego, którą znajdujemy na każdym niemal kapeluszu. Te „aigretty" sporządzają się z piór grzbietowych, które orły morskie posiadają tylko w chwili wysiadania jaj. Dla tych piór wytępione całkiem orły morskie we Florydzie, i zabijają te ptaki masami w południowej Ameryce, Afryce i Indjach. Tego gatunku ptaków, jeżeli zostanie wyniszczony w znacznej części, nie da się już nigdy rozmnożyć.

Tym sposobem ludzie obdzierają naturę z jej najkosztowniejszych skarbów i najwspanialszych ozdób.

Ptak zabity może służyć do badań naukowych, ale jakim sposobem ciało martwe, bez ruchu zostało wypromowane na przedmiot upiększający — jest tajemnicą kapryśnej i zwykle nielogicznej królowej mody. Nie ma, zapewne, mężczyzny, zapatrującego się poważniej na tę sprawę, lub mającego, choć odrobinę miłości dla przyrody, któryby nieodradzał żonie ubierania się w pióra, skrzydła, lub przypinania nieżywych ptaków nawet wtedy, gdy kobiecie jest w nich do twarzy.

Dlaczegoż więc panie, wbrew tylu rozsądnym perswazjom, nie chcą rozstać się z modą przynoszącą tyle szkód? Na to pytanie odpowiedział pośrednio Herbert Spencer że: „kobiety na drodze postępu nie kroczą wraz z mężczyznami, lecz pozostają za nimi w tyle, a gdy chodzi o zmysł estetyczny, w tym względzie zatrzymały się w połowie drogi na przestrzeni, jaka dzieli człowieka cywilizowanego od dzikiego". Czyż panie nie powinnyby starać się zadać kłam temu uwłaczającemu im zdaniu i poświęcając modę, wznieść się do wyżyn, na których stoją mężczyźni i zarazem oszczędzić życie miljonom ptaszyn, zdobiących przepychem swych piór wszystkie części świata? Należy spodziewać się, iż wkrótce nadejdą te czasy i kobiety odrzucą te ozdoby, których używają z upodobaniem nadzy czerwonoskórzy w pustyniach Wenezueli, ci sami, którzy z uszów, odciętych nieprzyjaciołom, robią sobie bardzo ładne naszyjniki. Pewna dama meksykańska zjawiła się raz w takim naszyjniku w sali balowej!

Jakąż zubożałą przyrodę odziedziczą po nas przyszłe generacje! Pozostawimy im ziemię odartą z ozdób i wraz z podaniami o pięknościach natury przekażemy im sztukę niszczenia ich w ciągu kilku dziesiątków lat, gwoli zadowoleniu próżności! Oprócz streszczonego powyżej listu, „Times" w tym samym numerze zamieszcza artykuł wstępny, w którym wzywa kobiety angielskie, by wyrzekły się szkodliwej mody, której całą ohydę poznać trudno. „Każda kobieta — zdaniem „Timesa" — powinna wiedzieć to, że kobieta strojąc się w pióra, jest istotą, dopuszczającą się okrucieństwa i że schlebiając przemijającej modzie, pozbawia się przytem ozdób, któremi sama przystroić się nie jest w stanie.

Widmo cmentarne.

Święto zmarłych minęło — skończone już dziady...
Cisza zaległa cmentarz — tylko wiatr szeleści,
Tylko z za chmury księżyc wychyla się blady —
I krzyże i mogiły zimnem światłem pieści.
Pusto dokoła, smutno...

Z zakątka mogiłek
Jakaś postać spowita, jak w weselne szaty,
Mknie cicho nad grobami. leciuchno, jak pyłek...
Na białej sukni lśnią się, jakby róż szkarłaty,
Na ich tle błyszczą, jakby krople rosy —
Twarz ma bladą, jak marmur — a z gwiazdy u [czoła
Jasne biją promienie; — wzniesiona w niebiosy
Błagalnie jedna ręka — a druga dokoła
Kreśląc krzyże w powietrzu... błogosławi groby.

Może to anioł śmierci? — Może duch spokoju?
Dlaczego nie przybrany dziś w szatę żałoby?
Czemu błądzi wśród mogił w uroczystym stroju?

Co to jest?... Duch przystanął, zadrżał i splótł ręce...
Oczy na grób opuścił — w nich łzy się zaszkliły—
I tocząc się po twarzy, po białej sukience,
Światłem gwiazdy zarannej swą drogę znaczyły.

I nagle, jak pod czarem, znikły barwne róże,
Gwiazda zgasła, nad czołem tylko wieniec z cierni,
Oczy tak świecące, jak dwie gwiazdy duże...
Strój godowy przybierał zwolna barwę czerni.
Stała postać milcząca, jakby posąg wielki...
Drżącą ręką już krzyżów w powietrzu nie kreśli,
Miast róż szkarłatu błyszczą zaschłej krwi kropelki,
Miast rosy — łzy na szatach...
Poznałem teraz ducha!... Wtem zapiały kury,
A on się mgłą rozpłynął, jakoby w zaklęciu —
Z miejsca, gdzie stał, wypełznął jakiś jęk ponury...
Spojrzałem... krzyż złamany... tam spoczywa pięciu!

Ant. Jastrzębiec.

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Ciąg dalszy — patrz numer 25).

A wreszcie, w wypadku niespodziewanej jakiejś nagłej choroby, mieszkając w pobliżu Florencji, czyż nie ma do wyboru mnóstwa znakomitych lekarzy prawie tuż pod bokiem?

On, Marko Germana, który dotychczas samemu sobie zawdzięczał wszystko — miałżeby teraz sprzeniewierzyć się swoim zasadom, za które dotąd tak niestrudzenie walczył, skończyć na tak małem, zmarnieć i znikczemnieć? — Nigdy.

Postanowienie uczynione, list złożony i odsunięty, Markowi Germana pozostało tylko wspomnienie sympatycznego wrażenia, oraz wdzięczność dla poczciwego druha, za jego pamięć i serce.

Powstał od biurka i podszedł do okna. Widok, jaki roztaczał się dokoła domku, który zamieszkiwał był smętny, niemal melancholijny; widać było nędzne, stare domostwa, rzadką tylko i, jakby nadwiędłą otoczone zielenią; gdzieniegdzie rosnące żółtawo listne morwy świadczyły o nieurodzajności miejscowej gleby. Cisza, smutek, ponura dzikość kładły tu na każdym zakątku niezatarte piętno i calkiem mimowoli nasuwało się na myśl, że przyrodzie zbyt szczodrze rozsypującej swe dary po całym włoskim półwyspie, zabrakło już skarbów dla wyposażenia tego zakątka tej samej ziemi i, że przybrała go przeto w same na zanik i zatracenie przeznaczone twory.

Jedynym punktem, na którym znużone oko z przyjemnością spocząć mogło, było wyniosłe wzgórze, po którego stoku piętrzyła się wspaniała zieleń w najrozmaitszych odcieniach od — najciemniejszych buków i jodeł, kasztanów i klonów, do srebrnych oliwek, między któremi przezierał gdzieniegdzie złocisty owoc pomarańcz i cytryn. Wyżej ciągnęły się tarasy kwiatowe ze szpalerami cyprysów, najwyżej zaś, na szczycie, stał zamek — pańska rezydencja.

Okna jego, jednak, zawsze szczelnie pozamykane i story pozapuszczane świadczyły, że nikt go niezamieszkuje; przez długi szereg lat nikt z właścicieli do niego nie zaglądał.

Germana, ile razy do okna sie przybliżył, najczęściej na ową zieleń i malowniczy zamek spoglądał; dziś, jednak, dopiero, może po raz pierwszy, nasunęło mu się na myśl pytanie, czemu, skoro tam nikt nie mieszka, ten park zawsze tak starannie jest utrzymywany? Wszak żadnych nie dając dochodów, pochłaniać to musi tysiące rok rocznie.

Myśl ta, jednakowoż, przelotnie mu tylko przez mózg przebiegła i dłużej go nie absorbując, ustąpiła miejsca na powrót cisnącym się refleksjom nad listem przyjaciela.

Wiedział, że odtrącając dłoń pomocną, czyni dziwacznie, może nawet zuchwale... Że na tysiąc ludzi nie znalazłby się może, ani jeden, któryby był skłonnym tak samo, jak on postąpić; że jest to istne porywanie się za bary z losem, ten upór trwania na niewdzięcznym posterunku, który w najpomyślniejszym nawet razie, nie da, ani sławy, ani na podeszłe lata nie zabezpieczy bytu...

Mimo te wszystkie względy, głębokie przeświadczenie wyraźnie mu szeptało, że to, co postanowił, jest dobre i uczciwe, a nadewszystko, że daje mu prawo osobistej swobody i głębokiego poczucia godności. Pomyślnego losu niechciał zawdzięczać nawet tak zacnemu przyjacielowi, jakim del Sagora był.

Z Piotrem del Sagora łączyły go stosunki zażyłości od najmłodszych lat pachołęcych; lubił go szczerze, tak, jak każdy lubić musiał tego otwartego, wesołego, roztrzepanego cokolwiek chłopaka. Pierwiastki wzajemnej ich przyjaźni różniły się, jednak, między sobą zasadniczo, a powodem tego była zupełna, niemal, sprzeczność temperamentów, a poniekąd także i różnica społecznego stanowiska. Germana był ubogim synem mieszczańskim, del Sagora potomkiem arystokratycznego, możnego rodu. Nie przeszkodziło to młodym chłopcom zawrzeć ze sobą przyjaźni, która ze strony młodego markiza zmieniła się niebawem w uwielbienie bez granic i ślepą wiarę w doskonałość wszystkiego, co Marko powiedział, lub zrobił; a Marko, można przyznać, iż rzeczywiście zasługiwał w pewnym stopniu na takie uznanie. Był znacznie poważniejszym, roztropniejszym, uczył się lepiej, a przyjacielowi nigdy nie odmawiał pomocy, zarowno, gdy chodziło o lekcje, jak o wywikłanie się z przykrych następstw jakiego studenckiego figla Stosunek podobny został i nadal. Marko imponował Piotrowi; wzbudzał w nim szacunek i miłość, jaką miewamy dla osób moralnie dojrzałych, Pietro zaś, wesoły szałaput i pędziwiatr, poprostu kazał się kochać wszystkim, a więc i Markowi.

Germana cenił przyjaźń Sagory, jak się cenić zwykło każdy objaw szczerego serca u ludzi, osobliwie u tych, do których lgnie własne serce; nie przyszło mu, jednak, dotychczas nigdy na myśi, ze z przyjaźni tej mógłby jakieś materjalne ciągnąć korzyści.

O, nie, do tego nigdy się nie zniży.

Odwrócił się od okna, z którego widok niewiele otuchy mógł mu dać i zasiadłszy przy biurku, szybko kreślić zaczął odmowną odpowiedź do Piotra. Był tego zdania, że z wykonaniem trafnych postanowień nigdy nie należy zwłóczyć; zniechęcenie, rozmysł, pokusa, są to czynniki, w obec których najbardziej zdeterminowany ze stoików nigdy nie powinien być zbyt pewnym siebie.

Serdecznie dziękując markizowi za nowy dowód przyjaźni, wymownie i przekonywająco usprawiedliwiał się, dlaczego propozycję jego odrzuca; życzył mu szczęścia i trwałej pomyślności w małżeństwie i skończył list obietnicą, iż w jesieni uczyni wycieczkę do Florencji, a wówczas nie omieszka odwiedzić go w prastarym zamku naddziadów, by prześlicznej jego małżonce należną czołobitność złożyć.

Pospiesznie list zapieczętowawszy, znaczną uczuł ulgę, jak gdyby mu kamień spadł z piersi; schwycił za kapelusz, chcąc swoje pismo własnoręcznie do pocztowej skrzynki wrzucić.

W tem usłyszał turkot bryczki zajeżdżającej przed jego domek i zaraz po tem do pokoju weszła Elia.

Doktor zwrócił na nią wzrok pytający i zdziwiony; nader rzadko się to zdarzało, aby w tych stronach ktoś końmi po niego przybywał.

— Przyjechał człowiek od głównego ogrodnika z zamku — rzekła dziewczyna — Powiada, że pan jego bardzo zachorował i pilno potrzebuje pańskiej porady.

— Ogrodnik chory!? — zawołał Germana z niekłamanem zdziwieniem. — Człowiek taki tęgi, silny, dotychczas jeszcze, ani razu mojej pomocy nie potrzebował; nie dawniej, jak wczoraj widziałem go zdrowego, jak rybę

Spiesznie podążył ku nędznej bryczce którą po niego przysłano.

Gdy turkot oznajmił odjazd doktora, Elia wyjrzała jeszcze za nim przez okno, poczem przystąpiła żywo do jego biurka.

Była to dziewczyna odznaczająca się wielką urodą; w miarę wysoka, smukła, o cerze bardzo bladej, co nadawało jej twarzy dziwnie smętny pociągający wyraz. Do służby u doktora Germany dostała się ona w sposób całkiem szczególny.

Uboga sierota, urodzona w Pastro, zakochała się w najbogatszym i najprzystojniejszym z miejscowych chłopców. Sama, będąc niezwykle piękna, wzbudziła w nim także afekta, lecz przelotnie tylko, niestety. Niedobry człowiek porzucił ją, zbałamuciwszy niegodnie, bez względu na jej łzy, rozpacz i hańbę.

Elia nie chciała przeżyć tej katastrofy; targnęła się na własne życie samobójczą dłonią.

Doktor Germana wyratował ją od niechybnej śmierci; a gdy odzyskany zdrowie, wolała raczej iść w świat daleki, niżeli powrócić do dawnych opiekunów, zatrzymał ją w służbie u siebie.

Elia zawdzięczała mu przeto nietylko życie, ale zarazem odzyskawszy szacunek i sympatję ogółu; pomagając mu, bowiem, zawsze w doglądaniu chorych, pełniąc rolę jego jałmużniczki, a sama z natury będąc także dobrą, uważana była przez wszystkich nieszczęśliwych za anioła opiekuńczego, a błąd jej młodości zapomniany został i wybaczony na zawsze.

Młodej, pełnej temperamentu i gorącej, południowej krwi kobiecie, trudno jednak nieraz bywa między dwiema ostatecznościami utrzymać się w równowadze — nienawidzą, albo też kochają. Elia, sama nie zdając sobie sprawy z tego, kiedy i jak się to stało, wiedziała tylko, że ubóstwia Germanę, że dałaby się za niego posiekać w kawałki i że gdyby odjechał, gdyby się z nim rozstać musiała, niechybnie przepłaciłaby to życiem.

Marko oczywiście, dobry dla niej, łagodny dla każdego innego, zbyt mało przecież na nią zwracał uwagi, ażeby się mógł tych żywych uczuć domyślać.

Elia po jego odjeździe do ogrodnika rozejrzała się bacznie po pokoju i przystąpiwszy do biurka, gorączkowo przerzucać zaczęła nagromadzone na nim papiery. Przeczucie szeptało jej wyraźnie, iż ów list, który dziś doktor otrzymał, rozstrzygające może mieć znaczenie dla dalszego losu Germany, a przeto i dla jej własnego również... Daremnie, jednak, przerzucała i przetrząsała papiery, listu nigdzie znaleść nie mogła. Nakoniec przecież dostrzegła go leżącego na podłodze pod biurkiem; schyliła się, podniosła i chciwie czytać zaczęła, a podczas tego, trwogą i niepokojem napiętnowana twarz jej, dziwnie się mieniła: to bladła, to krwawym oblewała rumieńcem; ciemne zaś oczy zaszły gorzkimi łzami. Precz odrzuciwszy pismo markiza, kryła lice w dłoniach, a z głębi jej duszy wydarło się stłumione łkanie.

— O, Madonno! — zawołała z iście włoską namiętnością, akcentując słowa gestem rozpaczliwym — nie dozwól, aby nas porzucił! Gdyby jego tu zabrakło, cóżby z nami nędzarzami się stało... A co ze mną?!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dzień zaduszny w Warszawie.

Dzień zaduszny; biegną wszyscy
Na groby, kurhany,
Niosą modły za umarłych
Do Pana nad Pany.

W wieńce stroją się mogiły
Kładą wonne kwiaty,
I z pałaców je tu niosą
I dziewczęta z chaty.

A z daleka, tam na wzgórzu —
Krzyż samotny stoi.
To mogiła powstańczyków —
Godło zbawcy stoi.

* * *

Prykaz wyszedł, aby tutaj
Sołdat carski stał,
By mogiły nie strojono
I każdy się bał.

Żołnierzowi pijanicy
Zachciało się spać,
Usiadł sobie na mogile
Sprzykrzyło się stać.

»Głupyj naród« — mówi żołnierz —
»Na wiatr taki; zimno, kwiaty nieść
»Ja bym wołał na gorzałkę
»Gdzież do karczmy wleźć,
»Niźli tutaj miatieżników
»W wieńce stroić grób —
»Niech kto przyjdzie — wstrząsnął bronią
»Niech spróbuje — pewny z niego trup.
»Głupi polak«... wciąż mamrocze,
Zdrzymnął się, już śpi,
O pieniądzach i orderach
Żołnierz carski śni.

* * *

Młodzież przyszła złożyć wieniec,
Niosą różne kwiaty...
Trzeba stąpać bardzo cicho,
Bo stoją sołdaty.

Patrzą dobrze, czapka spadła,
Moskal siedzi — chrapie,
Ręką przez sen mimowolnie
Za karabin łapie.
Oni wieńce położyli
Na poległych grobie,
On o krestach i pieniądzach
Śnił spokojnie sobie...

Orzeł.

Z Chicago.

(„Dzień polski").

— „Noch ist Polen nicht verloren" — mówi jedna z gazet niemieckich w Chicago nazajutrz po „Dniu polskim". Istotnie, polonja chicagoska w dniu 7 października, tj. w „dniu polskim", zamanifestować się musiała świetnie, okazale, jeżeli nawet niemcy bezwarunkowo jej to przyznać musieli. — Wszystkie dzielnice polskie miasta Chicago na „Dzień polski" przybrały się w zieleń, flagi i kolory narodowe i wyglądały istotnie ślicznie, uroczo... Przy wyjątkowo pięknej pogodzie przeszło 30.000 polaków maszerowało przez ulice wielkiego miasta w olbrzymim, imponującym, wspaniałym pochodzie. A był to pochód nie zwykły, wyjątkowy: tym razem nie podzieliliśmy się na żadne obozy, partje — nikt nie został w domu — wyszli wszyscy: organizacje wojskowe, cywilne, kościelne zmieszały się w jeden długi łańcuch, silnie skuty z serc polskich. I chwała za to polakom w Chicago. Daj Boże! może ten pamiętny „Dzień polski" rozpocznie w naszem życiu narodowem inną, lepszą erę...

Nie będę się silił na opis szczegółowy całego pochodu, z którego, istotnie, dumnymi czuć się możemy. Dla ścisłości zaznaczę chyba, że pochód składał się z trzech dywizyj, które, jako główny marszałek prowadził pan Piotr Kiołbasa. W pochodzie zwracał na siebie ogólną uwagę oddział policji, który stanowili wyłącznie polscy policianci, od niejakiego czasu wszędzie i zawsze manifestujący swój patrjotyzm. Widok szczególnie okazały przedstawiał oddział konnicy: — około 150 dzielnych jeźdźców, w uniformach, na pięknych koniach, budziło zapał przypatrującej się im publiczności. Dalej oddziały sokołów, kadetów, milwauckiej milicji, konnych ułanów znakomicie walczyły o palmę pierwszeństwa. — Naturalnie, do uświetnienia tej parady bodaj nie najwięcej przyczyniły się rydwany, wozy z historycznymi i alegorycznymi obrazami. A były to obrazy na których znać było umiejetną rękę artysty. Było ich 16. Niektóre wzbudzały istotny entuzjazm. Do najpiękniejszych zaliczyłbym rydwan Rządu Centralnego Zw. N. P. — „Konstytucja 3. Maja"; ułożeniem tego obrazu zajął się artysta Barącz. Potem wóz z „Polakami garnącymi się pod opiekę Stanów Zjednoczonych" — również zwracał na siebie ogólną uwagę: „Wóz Bridgeportu" „Praca" zaliczam również do najefektowniejszych. Zresztą, wszystkie były piękne, gustowne. Obchód w „Festival Hall" był nie mniej wspaniałą częścią w uroczystościach tego dnia, który chyba na zawsze pozostanie w pamięci wszystkich tutejszych polaków.

Obchód otworzył p. Słomiński, jako prezydent komitetu urządzającego: „Dzień Polski". Potem na prezydenta powołano sędziego La Buy'a, a na sekretarza p. F. H. Jabłońskiego.

Pierwszą mowę wypowiedział sędzia La Buy. A było to przemówienie świetne. Po nim wszedł na estradę major Harrison, którego polacy powitali hukiem oklasków. Żałuję, że nie mogę tu — ze względu na rozmiary pisma — podać w całości mowy Harrisona, który szczególnie potrafił przemawiać do serc polskich. Przemówienie Harrisona, to słowa uznania dla polaków amerykańskich, którzy z takim mozołem i cierpliwością szybkim krokiem wciąż kroczą na drodze oświaty, postępu i dobrobytu.

Wreszcie, po polsku przemawiał dr. K. Midowicz. który zaznaczył, że polacy zebrali się dnia 7. października, aby, jako reprezentanci narodu polskiego oddać hołd postępowi wolnych Stanów i, aby zapewnić amerykanów, że „jak cały naród w ziemi ojczystej, tak i my już liczna emigracja, dziś wasi współobywatele, wszystkich sił używać będziemy na dobro tego kraju".

Część wokalno-muzyczna także wypadła bez zarzutu — znakomicie. A słynne „Przebudzenie się lwa", wykonane przez orkiestrę p. Czapki, wywołało entuzjazm nie dający się opisać. Ładnie też spisały się chóry dziewcząteк polskich. Wreszcie, tow. „Wanda" i „Śpiewacy polscy", wywiązali się z zadania znakomicie.

Obliczają, że w hali zebrało się do 10.000 osób — być może. Wnętrze hali gustownie było przystrojone w narodowe kolory i herby.

Wieczorem puszczono wspaniałe ognie sztuczne, którym z zajęciem przypatrywały się do późnej nocy dziesiątki tysięcy rozentuzjazmowanych polaków i polek.

Oto krótki opis „Dnia Polskiego", o którym cała prasa nie tylko polska, ale niemiecka i angielska z prawdziwem pisze uznaniem. Na zakończenie niech mi wolno będzie w tłomaczeniu podać parę uwag tutejszego „Heralda" o tych naszych uroczystościach.

„Polska miała swoje święto na wystawie. Nie był to obchód pośredni nic nie znaczący, jakiego możnaby oczekiwać od kraju, zdeptanego i uciśnionego przez armie tyranów, zrabowanego i okradzionego przez niesumiennych sąsiadów. Był to silny i potężny pochód wiernych synów prześladowanych patrjotów, których czoła przyozdabia spadek porażki o wielekroć świetniejszej, niż wieńce tyrańskiego tryumfu głowy ich zwycięzców. Polacy, owi przyszli tysiącami i dziesiątkami tysięcy i po raz pierwszy od wieku podnieśli głowy w górę, i szli, jak dumni rzymianie w cieniu białego orła i byli uczczeni, jak nigdy przedtem przez żaden kraj od czasu, gdy rozebrano ich kraj na części. Powiewali sztandarami zabronionymi w domu i śpiewali pieśni, które wysłałyby w Polsce ich chóry na Sybir — wypowiadali przemowy, za które wojska państw zaborczych karałyby ich w kraju, jak za polityczne zbrodnie. Ci dzielni potomkowie swych ojców przybyli na wystawę, jako naród odrodzony i odnowili przysięgę wierności dla swej przybranej ojczyzny. Grzmiącymi oklaskami pozdrawiali echa „Columbji" i znów rzucali w niebo głośne okrzyki zapału na myśl o tem, że niewoli Polski będzie kiedyś koniec". *Echo.*

Jesień.

Wiatry szumią liść opada,
Kropi deszcz nie miły,
Jaskółeczki i bociany
Już nas opuściły.
Biały szron na dachach leży,
Chłodno porankami,
Człek aż drży, gdy wspomni sobie
Zima za plecami!

Nie dla takich ta piosenka,
Którym szczęście sprzyja,
U nich zima najostrzejsza
Kwiatem się rozwija.
Jasno wszędzie, ciepło wszędzie
I wszędzie wesoło,
Drogie futra w pogotowiu,
Dostatek w około.

Nie tak u nas moi ludzie,
Wszak my nie bogaci,
Choć świat cały jest rodziną
Więcej biednych braci...
Panem każdy być nie może,
Walczyć z losem trzeba
I pracować w pocie czoła
Na kawałek chleba.

A więc troska o odzienie
Dla żony, dla dzieci,
Troska o to, i o owo, —
Nic z nieba nie zleci,
Chyba śnieg by ludzie sobie
Dzwonili zębami...
Człek aż drży gdy wspomni o tem:
Zima za plecami!

Nie drżyj człeku — miej nadzieję,
Kogo Bóg nasz stworzył.
Byle tylko był wytrwałym,
Tego nie umorzył.
Wytrzymamy ostre zimy,
Lata przebędziemy,
Nasza polska nie zginęła,
I my nie zginiemy!

Faust.

Teatr — koncerta — widowiska.

Wszystkie komedje ś. p. Władysława hr. Koziebrodzkiego, odznaczają się brakiem temperamentu autorskiego i niedostatkiem siły literackiej, a gdyby nie pozycja towarzyska i majątek, komedjopisarskie imię tego autora, niedalekoby się przedarło poza rogatki parafji. *Nauczycielka*, 4 aktowa komedja, czy „sztuka", jak było na afiszu, którą widzieliśmy po raz pierwszy w tych dniach na lwowskiej scenie — nie jest, ani lepszą, ani gorszą od tego wszystkiego, co Koziebrodzki napisał, a jeśli dostała *drugą* nagrodę na znanym konkutsie „Kurjera Warszawskiego", to chyba dla utrzymania tradycji, że na naszych konkursach, z bardzo małym wyjątkiem, nie dobrze się dzieje... *Nauczycielka*, ani pod względem literackim, ani pod względem scenicznym, nie warta żadnej nagrody — jest, bowiem, pracą, zaledwie, miernej wartości. Bezwarunkowo *Flirt* powinien był otrzymać tę *drugą* nagrodę, bo przewyższa *Nauczycielkę* życiem, humorem, scenicznością posuniętą do doskonałości i pewną świeżością pomysłu — tego wszystkiego w *Nauczycielce* nie ma i na to wszystko nigdy ś. p. Koziebrodzki nie zdobył się.

W *Nauczycielce* główna oś dramatyczna — to podsłuchanie — dopomaganie zaś sobie monologami autor praktykuje, co chwila — jest tych monologów coś ze siedmnaście, przyczem, przynajmniej, dziesięć razy z różnych ust słyszymy opowiadanie jedno i to samo o tem, co książę zrobił z nauczycielką.. Arystokratyczny heraldyk Kocio, jest figurą zużytą zupełnie — siostra jego Walerka drwiąca z brata głośno w obcych towarzystwach, plącze się w sztuce, jak piąte koło u wozu — to samo jej brat, jego matka i ich jakiś kuzyn łysy. Sam książę, który sponiewierał tam kiedyś nauczycielkę w „innych stronach", ma trzy sceny, a z nich okazuje się, że jest to wstrętny głupiec mimo to, że w sztuce ciągle się gada o jego wykształceniu. Barski rozkochany w sponiewieranej nauczycielce jeszcze bardziej, gdy się dowiedział o jej „nieszczęściu", to szablon dramatycznego kochanka *quand même...* Sama nauczycielka w pomyśle nie zła, w opracowaniu sentymentalno luźna — siły dramatycznej nie ma w niej prawie wcale. a jej matka ośmieszona przez autora, chyba dla tego, że jest biedna — innego powodu nie ma zwłaszcza, że córka jest tak świetnie wychowana. Równolegle idzie babka, hrabina, bardzo szlachetna matrona, ale znowu dla tego, że bogata, bo cóż ona robi w całym tym dramacie? — nic. Filisia, druga bohaterka w sztuce — to zero panieńskie, przy którem postawiona cyfra: mąż, nie wiele pomoże..

Nauczycielkę ślicznie grała pani Stachowiczowa, a przytem wyglądała niezmiernie sympatycznie i powabnie. Kilka rysów silniejszych, wybornie uwydatniła w grze swojej pani Gostyńska, jako matka nauczycielki. Bardzo starannie grała hrabinę pani Ciehocka, a panna Czaplińska, choć to „piąte koło u wozu" w sztuce, odtworzyła Walerkę z niepospolitym talentem i humorem, pełnym niewieściego wdzięku. Doskonała gra i talent p. Woleńskiego nie uratowały, bo nie mogły uratować, szablonowej postaci Barskiego. Książe absolutnie nie miał nic do grania, choć tyle nabroił — grał go, jednak, starannie p. Hierowski, równie, jak matkę Kocia pani Otrembowa, a banalną figurę kuzyna p. Feldman. Felisię, rolę niezmiernie bladą — żywa, pełna temperamentu i artyzmu grała pani Siemaszkowej, nie zdołała... zarumienić. Wyborną pokojówką była panna Rybicka.

Reżyserja była bardzo staranna — wystawa piękna.

Nie wiele, w ogóle, pisać teraz da się o operetce, bo wyczerpała ona się zupełnie i już tylko błaznuje — ale, jednak, kołacze się po scenach i podłechtywa czasem nerwy i... podeszwy.

Nie lepsza od lepszych i nie gorsza od gorszych, jest operetka Weinberga: *Ułani*, którą widzieliśmy w tych dniach po raz pierwszy na lwowskiej scenie. — Pod względem muzycznym, jest to walczykowaty *melange* z kożuszkiem, dosyć, co prawda wodnisty, bo niemcy zapaleni lubownicy kawy i operetki, wiadomo, pierwszą piją lichą, drugą komponują, co raz, mizerniejszą — pod względem za libretta, to powinno być przyjęte za zasadę, że, jak w domu powieszonego nie mówi się o szubienicy, tak pisząc o operetce, nie powinno się pisać o treści.

Niemieckich *Ułanów* na lwowskiej scenie trochę odgermanizowano i trochę ich spolszczono, co im, oczywiście, wyszło na dobre, bo wiadomo, jak to w polskiem wojsku śpiewano: „nie ma pana nad ułana, a nad lancę broni", a już niemiecki ułan, tak znowu bardzo do pana nie podobny...

Kuplety w *Ułanach*, te zwłaszcza, które wysmażone zostały w tyglach lwowskich, są dosyć dowcipne i interesowały „szanowną publiczność".

Operetka szła nie bardzo żwawo, choć grano ją z humorem. Największą rolę tenorową miał p. Jerzyna i wywiązał się z niej bardzo dobrze. Inne role odegrano i odśpiewano bez zarzutu przez pp.: Kiczmana, Kliszewskiego, Olszańskiego, Gasińskiego, Bogaekiego, Kiernickiego, Karpińskiego i innych. Z pań, panna Praun miała największe pole do popisu — odegrała też swoją rolę z wdziękiem i powabnie — mniejsze role grały starannie panie: Radwan, Kasprowiczowa, Weigel i inne.

Sen sieroty.

Na twardem łożu sierotka śpi,
Dzionek na niebie już świta,
Otwartem oknem z sąsiednich lip
Wietrzyk poranny ją wita.

Całuje wietrzyk dziecięcia skroń,
Uśmiech na ustach maluje,
Wyciąga ręce sierota wnet,
Mniema, że matkę całuje.

Otwartem oknem skowronka pieśń
Do usz dziecięcia przechodzi,
Matuli słodki, milutki głos
W duszy swobodę mu rodzi...

Otwartem oknem z ponurej mgły
Rosa poranna się wkrada...
Na oczach dziecka gorąca łza
Smętnej tęsknoty osiada..

Faust.

Ciekawe rzeczy.

Roślina śmiechu. Czy istnieje w samej rzeczy roślina śmiechu? Że istnieje, twierdzą poeci, a Homer poświęcił jej kilkanaście wierszy w 4tej księdze Odyssei. Prowadzony przez Minerwę Telemak porzuca Itakę i udaje się do starego Nestora. Ten ostatni odsela go do Menelausa. Menelaus, na widok syna swego, towarzysza broni z pod Troi, oblewa się łzami, co wpływa wielce płaczliwie na całe towarzystwo. Nawet piękna Helena płacze rzewnemi łzami. Nagle Helenie przychodzi myśl do głowy. Rzuca do wina roślinę pewną i oto wszyscy zepominają o rozrzewnieniu, zaczynają się śmiać serdecznie i wesołość zapanowywa powszechna. Człowiek, który pije wino, nasycone tą rośliną niezwykłą, nie może przelać, ani jednej łzy, choćby tracił najdroższe na świecie istoty. Pausanjam opowiada, iż na wyspach archipelago greckiego znajduje się ta roślina. Jest ona trującą, a trucizna w niej zawarta każe się śmiać nawet umierającym, Lineusz daje tej roślinie nazwę Ranunculus bulbosus. Jest to roślina wodna, znajdująca się w stanie dzikim w Sardynji centralnej. Liście tego ziela zawierają w sobie truciznę, która ściąga w ten sposób muskuły twarzy, iż chory sprawia wrażenie śmiejącego się nawet w chwili śmierci.

Król pszeniczny. Według wychodzącego w Buenos Ayres pisma „The Agriculture", miano „króla pszenicznego" nosi w Brazylji sennor Jose Guazzone, posiadający pod pszenicą 63.000 akrów ziemi. Do Brazylji przybył on dopiero w roku 1875, mając trochę grosza, dwadzieścia lat, oraz wiele zdrowia, dużo energji, a największej nadziei. Wyposażony takimi środkami, rzucił się w wir spekulacyj i już po roku miał 8.000 dolarów zaoszczędzonych. W owym czasie rolnictwo w Brazylji znajdowało się dopiero w zaczątkach. Guazzone zrozumiał też, iż musi ono mieć przyszłość przed sobą i pomimo odradzań przy jaciół, począł skupywać ziemię, orać i siać — i niebawem tryumfował. W r. 1879 miał już 81 000, złożonych w banku. Zdwoił wówczas swoją energję, a choć szczęście poczęło go wówczas zawodzić, wytrwał jednakże i brał ciągle w dzierżawę coraz większe obszary. Wyrobił sobie kredyt na maszyny rolnicze, a gdy się okazał brak rąk do pracy, sprowadził w r. 1884 włochów, zakładając dla nich wzorowe kolonje w Olavaria. Obecnie posiada 63.000 akrów obsianych pszenicą i do przewiezienia tegorocznych swoich zbiorów potrzebować będzie 3.500 wagonów kolejowych. Słusznie tedy należy mu się miano: „króla pszenicznego".

Praktyczne wiadomości.

Pokrzywa a łysina. W schroniskach letnich naokoło Wiednia, odbywa się skrzętnie zbieranie pokrzyw, roślina ta bowiem, według orzeczenia ks. Kneippa, ma własności zachowywania i odradzania włosów, tak dalece, że na łysinach obu płci nowe nawet porastają cebulki włosowe. Recepta ta antyłysinowa opiewa: 200 gramów drobno siekanych korzeni parzącej pokrzywy gotuje się na pół godziny w jednem litrze wody z dodaniem pół litra octu. Wyskokiem tym przecedzonym zmywa się głowę na noc, a raz na tydzień naciera się włosy rafinowanym olejkiem sałatowym.

Jak czyścić zardzewiałe żelazo? Długo nieużywane żelaztwo rdzewieje zazwyczaj i staje się nie zdatnem do użytku. Bardzo prostym, tanim i skutecznym środkiem zaradczym jest moczenie danego przedmiotu przez kilka dni w świeżej maślance. Ma on jeszcze tę wyższość nad zalecanemi w tym celu kwasami, że nie niszczy żelaza i nie nadaje mu odoru. Pod wpływem maślanki, oddzielają się całe skorupy rdzy i każdy najmniejszy kącik staje się czystym. Tak samo postępuje się, chcąc usunąć rdzę z łańcuszków, siekier, obcęgów i t. d. a nawet z przedmiotów mosiężnych.

Rolnicy rosyjscy zwrócili obecnie uwagę na nieznaną dotąd w Europie roślinę, zwaną *poligonum sachaliensis*, czyli „gryką sachalińską". Roślinę tę zaaklimatyzował z powodzeniem moskiewski ogród zoologiczny. Jest ona nadzwyczaj wytrzymała tak na suszę, jak na wilgoć długotrwałą i nigdy nie zawodzi nadziei rolników. Używana, jako pokarm dla bydła, zasługuje na szerokie rozpowszechnienie Zarząd ogrodu zoologicznego otrzymał świeżo zamówione z Paryża na olbrzymi transport nasion tej rośliny. Nabywają także owe nasiona liczni ziemianie środkowej Rosji.

Nowy probierz dobroci masła wynalazł francuz Brullé. Dotychczasowe sposoby próbowania dobroci masła, szczególniej co do fałszowania go przez domieszkę margaryny, były tak niedokładne, że nie można było na pewno oznaczyć procentu tychże domieszek. Związek mleczarski pod nazwą „Kleeblatt" w Prenzlau, usłyszawszy o tym nowym sposobie, który we Francji wchodzi w ogólne użycie, postarał się przez pośrednictwo poselstwa francuskiego w Paryżu, o nabycie tego nowego sposobu i próbował go już w mleczarni w Prenzlau. Próba wypadła tak dobrze, że ów związek kupił od p. Brullégo ów wynalazek. Daje on pewność, że bez wszelkiej poprzedniej znajomości nauki chemji i bez kosztownych przyrządów, już 5 prc. domieszki obcych tłuszczów w maśle fałszowanem będzie można na pewno oznaczyć. Bliższych wiadomości udzieli związek nabiałowy „Kleeblatt" w Prenzlau pod berlinem i poda warunki sprawy tej bliżej dotyczące.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan F. we Lwowie. »Balonem do nieba«, nie będzie drukowane. Wiersze idą. Rękopism powieści odeślemy, gdyż drukować jej nie możemy.

Pan robotnik w Chicago. Na kredyt pism naszych nie posełamy.

PP. Autorowie wierszy: »Do lubej«, »Żółte liście« i »Są bóle« — utwory panów drukowane nie będą.

Lolo. Nie do druku, choć dowcipne.

Q. Q. Q. w Krakowie. Drobna omyłka, ale główna rzecz, jest prawdą.

Pan D. L. w Paryżu. Jest stowarzyszenie polskie w Rio-Jonsiro.

Pan Polonus w Milwankce. Choć z daleka wiemy my tu dobrze, co po czemu w Ameryce »polskiej«, czy w Polsce »amerykańskiej — nie wydrukujemy.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. K[illegible]zyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117